Od pól szły przez ogród chłodne i zwiędłe wonie jesienne i słychać było cichy, jednostajny szum wiatru.

— Panie Dzięgielewski — ozwał się staruszek.

— Słucham księdza kanonika dobrodzieja.

— Słuchaj waść, ale nie mnie, tylko świata. Słyszysz, jaki to szum? Wydaje mi się, że słyszę obrót całej tej wielkiej maszyny, której Bóg jest budowniczym i maszynistą wiecznym. Kręcą się na osiach planety i słońca, wszystko idzie po swoich drogach i szumi. Cały świat szumi. A On, budowniczy i maszynista wieczny, słucha i raduje się. Pomyśl tylko panie organisto kłonicki, Mateuszu Tymoteuszu Dzięgielewski, herbu cykorya, jaki to ogromny cudowny szum być musi! Ty myślisz, że jak wiatrak Kuby Michałowego z Zardzawicy, a to jak tysiąc, milion takich wiatraków. Ho! ho! Jak wszystkie fale Atlantyku i wszystkie wichry Sahary razem wzięte. Słuchaj tylko...

— Słucham księże kanoniku.

— Słyszysz?

— Słyszę, jak wiatr po ogrodzie szuści.

— A tego szumu świata, tej maszyny ogromnej, nie słyszysz?

— Nie, z przeproszeniem księdza kanonika dobrodzieja.

Ksiądz Piotr milczał chwilę, a potem znowu zaczął mówić:

— Odsuń, mości organisto, tę szybę od północy. Niech jak najwięcej zapachu z pola wejdzie. Tam, jak tam... może być, jeśli Bóg miłościwy, i światło prześliczne i chóry anielskie i wonie rajskie mogą być i wszelki cud, ale przecież kłonickich pól nie będzie, nie będzie tego zapachu z mego parafialnego ogrodu... Wieczność jest długa, ale i pięćdziesięciu lat też pies nie przeskoczy... Te młode więzy każesz podeprzeć, a żeby grusze dobrze na zimę słomą owinęli... Ho! ho! Takiego zapachu nie będzie... Mości panie Dzięgielewski, ja byłem w Ziemi Świętej i w Arabii i we włoskich pomarańczarniach, a takiego zapachu jak u mnie w Załanach dawniej, a potem tu w Kłonicach, nigdzie nie było. Panie Dzięgielewski!

— Do usług księdza kanonika.

— Czy to już miesiąc wschodzi?

— Niby.

— Jasny jest? Bo mi się źle w tamtą stronę oglądać.

— Jasny.

— To chwała Bogu. Nie chciałbym w niepogodę umierać.

— Uu, co też to ksiądz kanonik...

— Cicho, panie Dzięgielewski, organisto, cicho. Miesiąc poświeci duszy, jasnym gościńcem pójdzie. A i dobrze, jeśli z ganku. To prawie tak, jakby z pola. U nas w rodzie mało kto na łóżku gasł. W polu gaśli. Dobrze, że się skończyli, bo kto wie, coby z nimi było, tak, jak z innymi. Kotu na łódź szlachectwo bez szlachetności w duszy. Tak, panie Dzięgielewski.

— Słucham księdza kanonika.

— Ubierzesz mnie w nową sutannę, tę na jedwabnej podszewce, pasem jedwabnym przewiążesz, szpilką złotą z Korabiem przepiąć, buty nowe wyglansować, łańcuch kanoniczy na szyję, ordery moje wojskowe na pierś. Sygnet zostawić na palcu, niech idzie ze mną... Obsypiesz mnie kwiatami, dużo macierzanki, bo pachnie, narcyzy w głowach. I szablę moją, mości Dzięgielewski, złamać, bo jestem z rodu ostatni... Cóż to, buczysz, panie Dzięgielewski?

— U-u-u... bo ksiądz kanonik tylko mi serce kraje...

— Albo wiesz co, panie Dzięgielewski, szabli łamać szkoda, ale mi ją cicho, żeby ksiądz wikary nie widział, pod sutannę we fałdy włożysz.

W rękach krzyż, nibym ja tylko ksiądz, ale tam, pod bokiem, szabla... Czujesz, jak z mego ogrodu pachnie, panie organisto?

— Czu-czuję... księże kan-n-nnoniku dobrodzieju...

— Testament jest tam, w biurku. Wszystko w porządku. Żebyś mi tu zawsze, panie Dzięgielewski, kwiaty w doniczkach podlewał i ogrodu strzegł. Nic nie sprzedawać, nic nie wypędzać. Na wszystko fundusz jest. Na dziady i na baby, na sieroty i kaleki, na zwierzyniec, na Marcina i Zagraja. Wszystko ma być, jak było, póki nie wymrze albo nie wyrośnie i w świat nie pójdzie. U mnie było jedno serce dla całego świata. Sarnię bez kozy takiej litości warte, co i dziecko małe. Bóg wszystko stworzył, wszystko miłuje i o wszystkim wie. Panie Dzięgielewski!

— Co ksiądz kanonik rozkaże?

— Bułanki panu Strzemieskiemu do Topolicy posłać. Broń Boże nie sprzedawać! On im łaskawy chleb da, bo nimi ostatni Załański jeździł. Mój dziad pannie Bronisławie Strzemieskiej, będąc nieco podchmielon, srebrny imbryczek z ręki wystrzelił, a potem jej do nóg padł i ona była moją babką. Stąd my krewniacy. Bułanki do Topolicy, siwki księdzu wikaremu na pamiątkę, bo on rad tą maścią jeździ i tych jednych się nie bał. Strzałę weźmie porucznik Kotwicz, to kawaleryjski koń. Może da Bóg jeszcze obaj nie tej trąbki będą słuchali, co dzisiaj. Ho, ho!... Fajkę z Marią Antoinettą i kałamarz brązowy z Napoleonem także księdzu wikaremu. Z majątku mego będzie fundusz na zakład wychowawczy, a tobie, panie Dzięgielewski, przekazałem testamentem dwa buhajki, dziesięć tysięcy i jeszcze tam to i owo, a tu masz ciepłą ręką tę tabakierkę szyldkretową z rubinem, żebyś o starym księdzu pamiętał.

— Uu, uu, uu, księże kanoniku dobrodzieju!...

— A nie klękaj przede mną waść, nie całuj mię po kolanach, fe, wstyd, wszyscyśmy równi. A że ja mam więcej, to ci daję. Tak powinno być i koniec. A nie bucz tak, panie Dzięgielewski, bo ludzi pobudzisz... Narobią się dzień cały, potrzebują spać. Ja się też choć pół życia napracowałem, trza iść spać... A tak przecież dziwnie,.. Niby się wie, że się ma umrzeć, a tak dziwnie... Tu jutro już może człeka nie będzie, a tu żeby choć jeden listek z lipy opadł, żeby choć jedno źdźbło trawy zawiędło... A przecież wszystko z jednego Boga wyszło, Bogiem trwa... Marność marności jest człowiek i nic tylko marność... Rok, dwa, będą pamiętali, potem zapomną... Niech tam, byle Bóg miłosierny nie zapomniał... O resztę nic!

— Jak mi się też żywo przypomina, jakem tu pierwszego dnia przyjazdu po alei grabowej w ogrodzie chodził... Takie były te graby, jak i dzisiaj, rozłożyste i szumiące. Lat pięćdziesiąt, pół wieku z górą... Nie chce mi się wierzyć, żeby ta pszenica tak samo prosto rosła, a przecież będzie... Tyle lat. Com ja tu chrzcił, com tu pochował.., O, jak to jasno.

Przez liście winne, które ganek gęsto obrosły, poczęła wmykać się światłość miesięczna, cicha i srebrzysta, zawisała na liściach i patrzyła w dół. Szum wiatru, poruszając liśćmi, jakoby przymykał i odchylał jej powieki. Ksiądz Piotr spoglądał jakiś czas w górę, potem głowa opadła mu ku piersi, a pan Dzięgielewski, któremu grube łzy spływały na wąsy, słyszał, jak staruszek szeptał:

— Nie ma co, nie ma co, trzeba iść. Teraz wieczór, jutro rano, ale trza... Jak to księżyc na mnie patrzy... Jakby mi jasność jaką zapowiadał niebieską. Ale kto wie... nigdym się niczego nie bał, com się to śmierci napatrzył w oczy, a przecież mi jakoś straszno... Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu, Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu... *Mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa*... A i krew jest na mojej duszy...

Opuścił jeszcze niżej głowę na piersi i milczał chwilę, ale nagle podniósł ją i silnym głosem przemówił:

--- Mości Dzięgielewski, jak odśpiewają *Requiescat in pace*, każesz ze wszystkich moździerzy parafialnych huknąć... Pamiętam w brzezince leci na mnie oficer dragoński, jak go chlasnę! Ale to było w dobrej sprawie, panie Dzięgielewski... Poprawno ten knotek w lampce przed Matką Boską Bolesną... Tak...

Poczem ksiądz Piotr przymknął powieki i począł drzemać, ale organiście się zdawało, że głowa opada staruszkowi coraz niżej i że oddycha coraz słabiej i słabiej. Trwało to czas jakiś, aż się pan Dzięgielewski zaniepokoił i miał już wstać, aby przywołać pannę Capikównę, gdy zegar uderzył dwa razy na wpół do dziesiątej i we drzwiach wiodących z sieni do ganku ukazał się mały Ignaś Znajda w koszulinie i płóciennych majteczkach. Podszedł on ku fotelowi księdza Piotra i, pociągnąwszy go lekko za sutannę, ozwał się:

--- Jegomość! Podźcie! Pani gospodyni kozeli pedzieć i prosi, coby jegomość śli spać. Podźcie, dojcie renke! Pomalućku, boście starzy. Jegomość!



... cy jegomość pomarli?

Ale kiedy ksiądz Piotr nie poruszył się ani nie odpowiedział, wówczas Ignaś podniósł oczy na pana Dzięgielewskiego i spytał:

--- Panie organisto! cy jegomość pomarli?

Kazimierz Przerwa-Tetmajer

RYSZARD POBÓG (Kanada)

WILNO

Gdzieś przy ulicy sto czternastej
Gdzieś na wybrzeżu, nad Hudsonem,
Chodzę zupełnie innym miastem —
Ojczyzną pachnie tam i domem.

Tak tam drzewami wiatr kołysze,
Czasem się takie głosy wedrą,
Jakby wiatr niósł je od Snipiszek,
Jakby je zbierał pod Katedrą.

Nic wtedy nie wiem, nie rozumiem,
Oczy zachodzą mgłą i łzami,
A Hudson tak jak Wilia szumi,
A serce drży jak w Ostrej Bramie.

Ojczyzno moja! Ziemio cicha,
Ziemio z ksiąg „Pana Tadeusza",
Choć moich wołań tam nie słychać,
Nad tobą błądzi moja dusza.

I mleczna droga nieomylna,
Którą nie jeżdżą już „subway'e",
Prowadzi prosto mnie do Wilna
Przez wszystkie smutki i nadzieje.

A na tej drodze... liczę głosy,
Modlitwy zbieram i wołania —
Od Antokola aż do Rossy —
O dzień, o słońce Zmartwychwstania.

NASI ZA GRANICĄ



Por. HERBERT

Spomiędzy wzgórz Storożyńca, Radauti i Suceawy — przez Falticzeni — wjechaliśmy w dolinę Seretu i Moldovy, a później w step, co się słał, jak okiem sięgnąć, po obu stronach rzeki. Olbrzymie, nieobjęte wzrokiem łany złotej kukurydzy, pastwiska, sięgające od jednego do drugiego krańca horyzontu, i pustka, pustka, pustka... Tylko żurawie studzien w szczerym polu spoglądają w niebo nalane słonecznym blaskiem, jak miodem. Tylko gdzieś na rozdrożu Chrystus rozpięty na próchniejącym krzyżu. Tylko osiadłe, porosłe głogiem, starodawne kurhany, bodaj z tych czasów jeszcze, kiedy tu były Dzikie Pola, tratowane przez tatarskie zagony... Wypalone skwarem trawy, ziemia spękana od gorąca, tumany pyłu wzdłuż szosy za każdym samochodem.

Przebywamy w bród Moldovę pod miastem Roman, Bystrzycę pod Bacau i jeszcze parę rzeczek po drodze do Focsani. To w Rumunii sposób o wiele pewniejszy, niż jazda przez mosty, przeważnie popsute, a prawie nigdy nie naprawiane. Nie wiem tylko, jak się tu jeździ w czasie, gdy rzeki są wezbrane, nie zaś wyschłe, jak teraz.

W Focsani zatrzymują nas rumuńskie władze wojskowe. Mają się tu zbierać kolumny po 50 wozów i stąd, prawdopodobnie pod eskortą, jechać na Brailę do Tulczy. Wcale mi się to nie podoba. Ani mnie, ani Zygmuntowi. A już Pryszczykowi — najmniej.

Wysiadamy, żeby się czegoś dowiedzieć i rozprostować nogi, Maryśka zaś pozostaje na straży wraz z drugim naszym kierowcą.

Sytuacja wyraźnie pachnie obozem internowanych z perspektywą na baraki i druty kolczaste, nie zaś angielskimi samolotami, które nam przed przejściem granicy obiecywano. Robimy więc dokładniejszy wywiad i postanawiamy nie dać się odrutować. Takich, jak my dwaj jest zresztą wielu i wszyscy zamierzają dostać się do Bukaresztu. Tam jest nasze poselstwo i attaché wojskowy. Stamtąd można będzie jakoś wyrwać do Francji, żeby się dalej bić. A tu...

— Nie! Tu nie zostaniemy w żadnym razie.

Wracamy po godzinie do Maryśki i przedstawiamy mu nasz plan: kupić jaki taki cywilny przyodziewek i różnymi środkami lokomocji po dwóch i pojedyńczo przemknąć się do rumuńskiej stolicy. Ale Maryśka nie może się zdecydować: ma skarbowe pieniądze, ma ludzi, samochody.

— A was żandarmi złapią zanim się stąd ruszycie.

— Hy — mówi Pryszczyk z lekceważeniem — rumuńskie żandarmy?!

Rozstajemy się tedy z Maryśką, który wypłaca nam odprawę w nowych, szeleszczących banknotach i idziemy szukać ubrań.

Nigdy w życiu nie miałem na grzbiecie takiej tandety. Wyglądamy dosyć podejrzanie. Ja w zrudziałym kusym garniturku i w za wielkiej cyklistówce — na dezertera; Zygmunt — w pomidorową kratę — na handlarza żywym towarem; Pryszczyk — w smokingu i w zielonych pumpach — zgoła na złodziejaszka...

Decydujemy się we dwóch z Zygmuntem jechać pierwszym autobusem do Ramnicul Sarat; tam wsiąść do pociągu; przesiąść się w Buzau na torpedę bukareszteńską, ale nie dojeżdżać nią do końca, bo podobno torpeda jest tam szczególnie kontrolowana; przesiąść się więc w Ploesti znów na autobus i dojechać nim aż do śródmieścia Bukaresztu.

Pytamy Pryszczyka o jego plany, ale Pryszczyk jeszcze nie wie jak tę podróż odbędzie. W każdym razie już on sobie da radę.

— Forsy — powiada — mam jak lodu, choć te dranie Rumuny w teraźniejszem czasie po dwadzieścia lejów za złotówkie dają i takiem prawem bogacą się na nas cholernie. A forsą to w tem kraju grunt, bo każden jeden Rumun w razie czego łapę tylko nadstawia i na bezczelniaka łapówkie bierze. Już tam nasze policjanty bardziej honorowy był naród, niż te ichnie żandarmy, co nas mają aresztować.

Pożegnaliśmy więc z kolei także Pryszczyka, który miał pójść jeszcze »koleżkie jednego podbajtlować, żeby z nim razem wiał«. Zapowiedzieliśmy mu, żeby na stacji autobusów i na dworcu się nie kręcił, bo go złapią, sami zaś poszliśmy do *„cafeany"* na turecką kawę.

Ale gdy po kawie przechodziliśmy koło przystanku, Pryszczyk tam urzędował, rozmawiając żywo z dwoma konduktorami. Nie wiem po jakiemu rozmawiali, bo Pryszczyk wprawdzie potrafił kląć po rosyjsku, z francuskiego nauczył się od nas w drodze *„parle wu franse?"*, po rumuńsku zaś — *»sanatate«* i jeszcze dwóch lub trzech słów, które przekręcał z warszawska, lecz na tym kończyła się jego znajomość obcych języków. Dość, że obaj urzędnicy w baranich czapach i brązowych kapotach spoglądali nań z szacunkiem i co trzecie słowo tytułowali go *»domnoa vostra«*, on zaś miał minę ważną, jak sam wojewoda Michał na portrecie w *»cafeanie«* i pyskował głośno, spluwając raz po raz przez zęby, czym widocznie imponował całej dokoła zebranej publiczności.

Odwołałem go na bok i wypaliłem kazanie. Co to za wiec tu urządza? Czy chce nas wszystkich wsypać? I — jeżeli ma zamiar jechać autobusem, to czemu nam o tym nie powiedział?

Kręcił się niespokojnie, pociągał nosem i spoglądał zezem na swoich konduktorów.

— Autobusem? Nic podobnego, panie kapitanie!

— Więc po jakiego diabła tu sterczycie?

— Ja tak — orientacyjnie, panie kapitanie. Badam teren...

Przyrzekł, ze będzie ostrożniejszy i wsiąkł gdzieś między ludzi. Ale gdy nadszedł autobus, pierwszym pasażerem, który do niego wsiadł, był Pryszczyk. Mrugnął na mnie porozumiewawczo, że nas widzi, choć według instrukcji udaje, że nas wcale nie zna i jakby nigdy nic usiadł przy oknie.

Okazało się, że bilet już ma kupiony, właśnie przez żandarma, że wszystko wie lepiej, niż my i że jedzie do Ramnicul Sarat, wraz z nami.

Zasłoniliśmy się rumuńską gazetą, żeby go nie widzieć, ale robił tyle ruchu i zamieszania, że skóra na nas cierpła. Najpierw szarmant, psia krew — wyrwał jakiejś dziewczynie walizkę, żeby ją umieścić na półce i wyrżnął nią w łeb konduktora. Potem zaczął się przystawiać do swojej sąsiadki, jędrnej, czarnookiej Rumunki, tak natarczywie, że się w to wmieszał jej mąż, drab wielki i groźny, jak sam Taras Bulba i omal nie doszło

do awantury. Wreszcie swoim *»parlé wu franse«*, zwróconym do głuchawego, starego chłopa, wywołał powszechną sensację i dyskusje całego autobusu na temat, kto to może być ten interesujący turysta.

Mimo wszystko do Ramnicul dojechaliśmy bez przeszkód. Pryszczyk od razu znikł w słusznej obawie, że mu natrę uszu za jego występy, my zaś, kupiwszy bilety pierwszej klasy do Buzau, ruszyliśmy na poszukiwanie restauracji, gdzie możnaby co zjeść.



... drzwi otworzyły się z trzaskiem i wszedł Pryszczyk...

Znaleźliśmy ją w pobliżu dworca i właśnie — zamówiwszy butelkę wina — głowiliśmy się nad rumuńskim jadłospisem, gdy drzwi otworzyły się z trzaskiem i wszedł Pryszczyk, obładowany paczkami, ze zwiniętą w rożek gazetą pełną winogron, które pożerał spluwając na lewo i prawo łupinkami. Nie dostrzegł nas, bośmy siedzieli w kącie, zasłonięci sztuczną palmą, przemaszerował przez pół sali stukając podkutymi wojskowymi buciarami i siadł przy jednym ze środkowych stolików.

Jakiś starszy pan w okularach, siedzący z żoną i córką obok, popatrzył na niego znad szkieł; dwaj żywo rozprawiający wojskowi zamilkli; zatopiony w gazecie grubas przerwał czytanie. A Pryszczyk obejrzał ich kolejno, ułożył troskliwie piramidę swoich paczek na stole, pokręcił w obu rękach kartę potraw, przekrzywiając głowę to w lewo to w prawo, wzruszył ramionami i psyknął na kelnera, kiwając na niego palcem.

— Psst, hallo, kelner — *povtic!*

Ponieważ jednak kelner nie bardzo się kwapił do niego, właśnie zmierzając ku nam, bezczelne indywiduum złapało go w drodze za połę białej, mocno już sfatygowanej marynarki i, nie zwracając uwagi na jego rumuńską gadaninę, pociągnęło do stolika starszej pary małżeńskiej z córką.

— Povtic mi to, rumuńska twoja niedola—rzekło szczerze warszawskim akcentem, wskazując brudnym paluchem talerz z dymiącą baraniną pod nosem matrony. -- Komprene? Parle franse! Dawaj w try miga!

My zdębieliśmy, ale kielner zrozumiał, matrona obdarzyła Pryszczyka miłym uśmiechem, a siedemnastoletnia córeczka (wymalowana rumuńską modą jak wielkanocne jajo) zaszczebiotała do niego wcale niezłą francuszczyzną.

Pryszczyk zmarszczył się straszliwie z wysiłku, aby coś odpowiedzieć i w tej chwili zobaczył nas... Zacisnął powieki, zamrugał i nagle, wyprężywszy się na baczność frontem w naszą stronę, po wojskowemu trzasnął kopytami, aż echo poszło po sali.

Zygmunt omal nie zemdlał. Ja zasłoniłem się gazetą, a wzrok wszystkich obecnych skierował się z kolei na nas obu.

Przeczekaliśmy jakoś to piorunujące wrażenie, jakie ogarnęło publiczność i wdaliśmy się w trudną konferencję z kelnerem. Niestety, umieliśmy po rumuńsku nie wiele więcej, niż Pryszczyk, więc musieliśmy wreszcie uciec się do sposobu zamawiania potraw, jakim posługiwał się ten ostatni.

On tymczasem przysiadł się do rozszczebiotanej panienki i po chwili czuł się już jak u siebie w domu. Zamawiał wino, rozprawiał — głównie gestami—i odbywał pierwszą lekcję konwersacji.

Gdyśmy wychodzili, starszy pan w okularach płacił za niego rachunek...

Siedliśmy do przedziału pierwszej klasy, w którym tylko dwa miejsca były zajęte przez jakiegoś generała i młodego człowieka o semickich rysach. Spojrzeli na nas obojętnie i nie zwrócili uwagi na nasz dość dziwaczny wygląd. Generał palił cygaro i czytał. Młody człowiek coś notował, czy też obliczał na marginesie handlowego listu.

Pociąg już dyszał, gdy drzwi przedziału odsunęły się i stanął w nich --- oczywiście --- Pryszczyk ze swoimi paczkami. Zobaczył nas, poczerwieniał, zawrócił z miejsca i --- wymiotło go jak wichrem. Odetchnęliśmy z ulgą, w nadziei, że pojedzie sobie aż do Bukaresztu tym pociągiem.

Aliści w Buzau, jak tylko wysiedliśmy, wysypał się na peron cały sąsiedni przedział drugiej klasy, w którym ten bęcwał jechał. Paczek było znacznie mniej, natomiast hałaśliwe pożegnania towarzyszyły rozstaniu Pryszczyka z jakąś hałastrą, która popijała z butelek i wznosiła okrzyki na cześć Polski, poklepując go po łopatkach.

Na szczęście torpeda już stała na stacji. Skoczyliśmy do niej co tchu, żeby nas nie widział i wsiedliśmy do przepełnionego wagonu. Pryszczyk zresztą wgramolił się zaraz za nami i zajął ostatnie wolne miejsce, obok mnie. Konspirował się teraz nadzwyczajnie, nic nie gadał, tylko łypał na nas oczyma i wiercił się jak na szpilkach.

Widziałem, że go trapi jakaś troska, ale udawałem, że niczego nie dostrzegam. Więc on wreszcie zasłonił twarz dłonią od strony dalszych sąsiadów i wykrzywiając ku mnie usta zapytał półgębkiem:

— Panie kapitanie, a ile kosztuje bilet do Bukaresztu?

— Pięćset lej --- odrzekłem wprost przed siebie w powietrze.

Zmrużył powieki, zmarszczył się i aż syknął, jakby go sparzyła ta wiadomość.

— Nie macie biletu? --- zapytałem.

Już chciał wyjechać ze swoim zwykłym »nic podobnego panie kapitanie«, ale się zreflektował. Westchnął ciężko i potrząsnął głową.

— Musicie zaraz o tym powiedzieć konduktorowi, bo wam każą zapłacić karę.

To oburzyło go do głębi. On będzie karę płacił? Rumunom? To go grubo nie znają z cywilą.

— Nic podobnego, panie kapitanie. Już ja ich wykiwam.

Zaniepokoiła mnie ta obietnica.

— Kiwajcie ich jak chcecie. Tylko pamiętajcie, że ani ja, ani kapitan Wasilewski nic wspólnego z tym nie mamy. No i --- dosyć tej konwersacji, *comprenez?*

Gęba mu się rozjaśniła na to ulubione słówko. Zrobił perskie oko, zamrugał, chrząknął, rozsiadł się lepiej, trącając mnie łokciem, że to obaj lampę z Rumunów robimy i hecę odstawiamy, i zaraz nabrał fantazji.

Zajrzał do gazety sąsiadowi na prawo, wyjął z kieszeni nadtłuszczone lusterko, chuchnął na nie, wytarł chustką od nosa, przejrzał się, włosy przygładził, poprawił węzeł czerwonego krawata i zaczął przewracać ślepiami do pani w doskonale skrojonym angielskim kostiumie, która siedziała

naprzeciw niego. Ponieważ wszystkie te zabiegi pozostały niezauważone, postanowił nieco się posilić. Wstał tedy i --- świadom dobrego wychowania --- podłożył sobie gazetę sąsiada na pluszowej ławce nim na niej postawił nogę, aby sięgnąć na półkę po resztę swoich zapasów. Wyciągnął stamtąd pół tuzina tabliczek czekolady, rozwinął jedną z nich, rozdziawił gębę, błysnął żółtymi, szczerbatymi zębami i zaczął chrupać, mlaskając aż się rozlegało.

To zwróciło wreszcie uwagę jego vis-á-vis. Niewiasta w angielskich wełnach spojrzała nań spod oka i widocznie powstrzymała uśmiech. Istotnie Pryszczyk wyglądał pociesznie: sztywne, wybrylantynowane włosy wstrząsały mu się nad zmarszczonym czołem, brwi, nos, uszy, grdyka, i szczęki --- wszystko było w ruchu, a błogość nie opuszczała jego piegowatej gęby.

Przełknął głośno, powiedział *„op-pardą"* i zabrał się do rozwijania następnej tabliczki. Czynił to bardzo wytwornie, trzymając ją daleko przed sobą dwoma palcami lewej ręki, rozczapierzywszy jak najszerzej trzy palce pozostałe. Prawą zdjął cynfolię, zwinął ją w kulkę i wdzięcznie wyprztyknął pod sufit. Kulka spadła na kapelusz Zygmunta, Pryszczyk skłonił się w jego stronę, powiedział *„op-pardą"*, i okrągłym a wymownym ruchem podstawił czekoladą pod nos damie.

Dama skłamała po francusku, że nie lubi czekolady i wymawiała się jak mogła, bardzo zażenowana. Ale nie wiedziała, z jakim to rycerzem sprawa... Przyszczyk zaciął szczęki i uparł się.

— *Povtic!* — rzekł uprzejmie ale stanowczo i — zwyciężył.

Niesyt triumfu, poczęstował w ten sam sposób sąsiadą na prawo, obu sąsiadów damy, wreszcie zaś — Zygmunta i mnie.

Zgrzytaliśmy zębami, wzrok nasz miotał pioruny, ale nie śmieliśmy mu odmówić, żeby nas nie zdemaskował.

Potem przyszedł konduktor. Stary, suchy, poważny, wcale nie do żartów. Sprawdzał bilety milcząc, jak automat, bez cienia uprzejmości. Pryszczyk aż się za uchem podrapał, kiedy go zobaczył. Zaczął demonstracyjnie wywracać wszystkie kieszenie swego niesłychanego garnituru, szukać pod ławką, na półce, między paczkami i znów po wszystkich kieszeniach. Biletu oczywiście nie było, bo i skądże się miał wziąć? A tamten czekał groźny, suchy i niewzruszony.

Cały przedział wziął udział w poszukiwaniach. My obaj z Zygmuntem — nie chcąc się wyróżniać, bo to zwróciłoby na nas uwagę — szukaliśmy także, choć nas zła krew zalewała, że bierzemy udział w tym błazeństwie.

Sytuacja stała się jednak naprawdę dramatyczna wówczas, gdy kolejowy sucharek wyskrzypiał drewnianym głosem po rumuńsku jakieś pytanie, którego żaden z nas trzech nie zrozumiał. Pryszczyk wytrzeszczył na niego oczy, poczerwieniał, bąknął pod nosem coś, co brzmiało jak »bodaj cię cholera utłukła« i rozejrzał się rozpaczliwie, zatrzymując wzrok na nas. Wtedy stała się rzecz dziwna: wszyscy zaczęli gadać naraz i zrobił się straszliwy rejwach. Dama w angielskim kostiumie złapała konduktora za złoty guzik i trajlowała jak karabin maszynowy; prawy sąsiad zaklinał się --- o ile mogłem zrozumieć ---, że na własne oczy widział bilet tego *domnula;* pani z dzieckiem siedząca przy oknie potakiwała gorąco; pan w meloniku gestykulował, jak starozakonny aktor, a uczeń w czapce ze znaczkiem Straja Tari piszczał, jakby go kto ze skóry obdzierał.

Nic to jednak nie pomogło i Pryszczyk ujęty pod ramię przez władzę powędrował wraz z paczkami do służbowego przedziału, aby zapłacić czterokrotną wartość biletu...